

**P**rzestawienie „Opery za trzy grosze” Lidii Zamków-Słomczyńskiej, wyreżyserowane w Teatrze Słowackiego, nie jest w Krakowie prapremierą tej znakomitej sztuki. Niektórzy widzowie pamiętają jeszcze zapewne „Operę” Zofii Jaremy i Lidii Minties w „Grottesco”. Oczywiście, z przyczyn technicznych nie mogli to być Brecht teatru epickiego. Obecnie otrzymaliśmy, dzięki mającej już w popularyzowaniu niemieckiego dramaturga zasługi Zamków-Słomczyńskiej i scenografom L. Minties i J. Skarżyńskiemu, „Operę” w pełnym scenicznym wymiarze, co więcej — przedstawienie, które zapewne zapisze się w dziejach recepcji Brechta w naszym kraju. Jak zapisały się spektakle J. Rothkama i K. Swinarskiego, żeby wymienić tylko najnowsze inscenizacje. Być może krakowskie przedstawienie nie jest aż tak indywidualistyczne jak tamte, ale przecież dzięki staranności i różnorodności inscenizacji na uwagę. Także dzięki temu, że jest wiernie Brechtowi.

Krytycy uważają, że „Powieść za trzy grosze” jest gorsza od sztuki pod tym samym tytułem. Co do mnie sędzę, że aczkolwiek „Opera” ma w sobie więcej energii i z natury rzeczy dramatyzmu, powieść nosi w sobie ogromny ładunek Brechtowskiego zjadliwego realizmu, tym wię-

**Jan Pieszczachowicz**

# Brecht u Słowackiego

szy, że obudowany obyczajowością. Patrząc na L. Herdegena, który w roli piekielnego Machéatha, zwanego też Mackie Majchrem dwoił się i troll, młodzieńcy i pełen wigoru, mia-tem przed oczyma tamtego Machéatha z powieści — dobrodusznego, nieniedługo już pana, o mięszczańskim wyglądzie i pokaznym brzuszku. Szkoda właśnie, że tradycja wystawiania Brechta tak mało bierze pod uwagę tamtego śacnego mięszczanina, opisanego w chwili, gdy staje się z rzekimieszka rekinem Cilly. Machéath ze sztuki jest znacznie bardziej málówniczcy i ekspresjonistyczny, ten z powieści za to prawdziwszy. Słomczyńska zdecydowała się sresata pójsć linią zupełnie odmienną, cawiającą w wielu punktach do poetki, w jakich już „Operę” u nas wystawiano.

Jeśli kazano by mi określić w sposób zdecydowany i jednoznaczny przedstawienie, napisałbym chyba, że jest spektaklem wielu możliwości. Choć nie wszystkich, np. reżyser ani trochę nie usiłowal w tłumek bohaterów znad Tamizy pompować psychologię

głębci, jak to już próbowano robić. Możliwości mięszcza się więc w wachlarzu od parodii i málówniczności widowiska różnorodnie stylizowanego do owego tonu „realistycznie groźnego” i illozofującego, który w swoim czasie zarzucił Schillerowi Boy, krytykując pierwszy w Polsce spektakl „Opery” w 1929 r. Słomczyńska pokazując te możliwości nie eksploatuje ich do końca, jakby się bała prześlągnąć sfrunę, przestylizować w jakimkolwiek kierunku. Też się więc przedstawienie w różnych tonacjach. Powiew autentycznego, choć lekkiego smutku, gryzącej ironii cofa za to mrozi śmiech widzów. I to jest chyba ten najprawdziwszy Brecht, pełen wdzięku, rubasności ludowej, patistycznej precyzji i powagi w określaniu stanu świata gościzającego — świata, w którym niedługo po premierze Berlińskiej „Opery” narodził się faszyzm. To bardzo dobrze, że realizatorzy przedstawienia nie zapomnieli, iż urzekające widowisko jest także dramatem społecznym. Choć akcenty te rozłożyli cokolwiek nierównomiernie, z zęszczęciem w końcowej partii przedstawienia.

**Z teatru**

„Opera” w Teatrze im. Słowackiego jest bardzo malownicza. Przyczynia się do tego scenografia; tak wielkiej ilości znakomitych, dowcipnych kostiumów już dawno nie widzieliśmy na scenie. Malownicze grupy są nieomalże malarsko kunsztowne a świeże pomysły gonią jeden drugi. Słomczyńska nie boi się materii pomieszaną, i nieśla na tym wychodzi. Tak więc bohaterowie śpiewają swoje songi wyraźnie pod Qui Pro Quo i tamtą „belle époque”. Herdegen ma wąsik fryzjerszyczny, czy raczej amanta międzywojennych filmów romantycznych, cady zaś jest ustylizowany na apasza francusko-nadwiślańskiego. Gra z wdziękiem, i songi w jego wykonaniu budzą najwięcej sympatii — w przeciwieństwie do większości pozostałych wykonawców, którzy po prostu nie umieją śpiewać, jak zaś powszechnie wiadomo, nawet do parodii potrzebne jest minimum wartościów głosowych. PAK Peachment, którego z niemałą godnością przemysłowca gra Zbiżniw Łobodzkiński, mógłby być postacią z dramy o protestanc-

kim, purytańskim pastorem. Jego gra jest powściągliwa, może nawet zbyt powściągliwa. Z pozostałych wykonawców brawa należa się, zwłaszcza za takie sceny jak song dzwoneczny-słuszącej hotelowej, Krystynie Królównie. Dużo życia wnoszą w przedstawienie, którego tempo będzie chwila-mi niepokój (jest zbyt wolne) prostytutki i bandyci Majchra. Wokół nich koncentruje się nastroj jarmarczno-ludowego przedstawienia. Na ich tle Herdegen wygląda jak z bajki — żeby nie szukać daleko i odwołać się do rodzimych tradycji — np. St. Grzesiuka. Wblecione tu i ówdzie „polonica” wskazują, że reżyser brał to pod uwagę.

Wydaje się, że „Opera za trzy grosze” powinna mieć duże powodzenie u publiczności. Już dawno w Teatrze im. Słowackiego nie było widowiska tak malowniczego i dalekiego od sztywności. Co się dowodzi, jakoby żywołowości było zbyt dużo. W każdym razie czołowa scena krakowska otwarta sezon pod dobrą gwiazdą. Oby tak dalej.

Teatr im. J. Słowackiego. B. Brecht. Opera za trzy grosze. Tłum. B. Winawer i B. Witak-Swinarska. Reż. L. Zamków-Słomczyńska. scenograf. L. Minties i J. Skarżyński. Muzyka Kurt Weill.